Amerykan, cz.8 (ostatnia) — Zdzislaw

Od autora: wspomnienie

cd.

– Zdzisiek! Dzień dobry. Wstawaj!!! – Przebudzenie było gwałtowne i wyjątkowo nieprzyjemne. Zamrugałem oczyma… Budzikiem przerywającym mój błogostan okazała się małżonka. – Wiesz, która godzina?!

– Aa… dzień dobry. – Potrząsnąłem głową, aby wrócić do rzeczywistości. – Niee, ekhm – odkaszlnąłem – nie spałem. Tak tylko, na chwilę. A która?

– Już w pół do szóstej…

– Sacreble! – Wyskoczyłem z wanny jak z procy, rozchlapując naokoło wodę. „Jednak przysnąłem”!

W pośpiechu wytarłem ciało. Oczy mnie piekły od niewyspania. Krótką chwilę trwało włożenie ubrania i już zbiegałem po schodach.

– Poczekaj! Trzymaj!– To małżonka zrzuciła mi woreczek. – Przecież nawet nic nie zjadłeś…

Chwyciłem jedzenie i pomachałem ręką na pożegnanie. Nie było już czasu na zwykły marsz; kurzgalopek w zimnym październikowym powietrzu nawet mnie orzeźwił. „Byłem zdążył! Byłem zdążył odbić kartę zegarową!”.

Zmachany i spocony wbiegłem do pomieszczenia wartowni, wyciągnąłem z przegródki kartę. „Którą wybije? Piąta pięćdziesiąt dziewięć!”.

Kilka głębokich oddechów pomogło. Ważne, że na karcie jest „przed szóstą”. Na koniec pracy ludzie potrafili stać w kolejce przed zegarami już kilka minut wcześniej, czekając aż zegar wskaże magiczną godzinę czternastą lub piętnastą. Ale nie można jej było rozpoczynać „punkt godzina”; musiało być odbite wcześniej.

Już uspokojony poszedłem na górę budynku, do swojego działu zaopatrzenia. „Uff… teraz godzinka na odpoczynek, póki inni nie przyjdą na siódmą”.

Okazało się to marzeniem ściętej głowy. Kierownicy na wydziałach produkcyjnych wiedzieli, że pracuję od szóstej. Jakby się umówili tego dnia – odbierałem telefon za telefonem. Plan był już zagrożony, mimo że październik to dopiero połowa kwartału. „Co z miedzią? Jak z wypraskami do pomp? Kiedy, do cholery, dostanę te styczniki do hydroforów?!”.

Praca zaopatrzeniowca w realnym socjalizmie początku lat osiemdziesiątych nie należała do najprzyjemniejszych, delikatnie rzecz nazywając. Była gospodarką ciągłych niedoborów, wszystkie łańcuszki kooperacji się rwały. W tym czasie „pani Kasia” czy „pan Stasio” z działu zbytu jednego czy drugiego dostawcy byli ważnymi personami, z którymi trzeba było dobrze żyć, czasem podrzucić czekoladki, koniaczek lub inny drobny prezent. Inaczej trudno było zabezpieczyć w pełni surowce i półfabrykaty do pro-

dukcji w fabryce, a przy niewykonaniu planu wszyscy żegnali się z premią. Zaopatrzeniowiec był tym proszącym i przymilającym się.

Jeden telefon odbierałem, za chwilę sam dzwoniłem do dostawców. Nie było mowy o odpoczynku, wykorzystaniu godziny na malutką drzemkę przy biurku. Może i dobrze… nie byłoby miłe, gdyby kierownik, który zawsze przychodził już kwadrans przed siódmą, zastał mnie z głową przytuloną do blatu biurka.

– Dzień dobry, Zdzisiek. Jak idzie, spokój dzisiaj? – To koleżanka z pokoju powitała mnie radosnym świergotaniem. – Jeszcze tylko kilka godzin i wolna sobota!

– Cześć, Irenka. – Odłożyłem długopis i szeroko ziewnąłem. – Lepiej nie pytaj. Prawie prosto z roboty przyszedłem do pracy. Tylko cii o tym… Jakoś wytrzymam. Na szczęście jutro wolne.

Przypatrzyła mi się uważnie.

– Widzę. Węgiel? – zapytała współczującym tonem. – Idź się domyj, bo jeszcze widać.

– Jeszcze?! Chce się mieć, trzeba robić – dorzuciłem filozoficznie. – Dzięki, w nocy nie było widać.

Zaśmiała się.

– Oj, ty biedaku. No, idź się domyj. Lepiej niech Kochański tego nie zobaczy, bo ci cofnie zgodę na tę szóstą. Nastawię na kawę, co?

Kawę?! Kompletnie o niej zapomniałem, telefony trzymały mnie przy biurku.

– Dobra duszyczka z ciebie. Dzięki.

W łazience zmitrężyłem trochę czasu, ale wreszcie doprowadziłem twarz do bardziej naturalnych kolorów. Po powrocie gorąca, pachnąca kawa stała już na biurku. „Dobra koleżanka w pracy to prawdziwy skarb”!

Ten piątek nie był dniem, o którym można było powiedzieć, że człowiek zbijał muchy w pracy. Przynajmniej nie czułem niewyspania. Młody organizm pozwalał jedną czy drugą noc zarwać…

Pozostałe godziny były dalej tak intensywne, że nie zauważyłem kiedy, a już nadeszła godzina czternasta. Koniec na dzisiaj!

Po powrocie do domu wreszcie zjadłem porządny, gorący obiad. Położyłem się „na chwilkę” i… jak to powiadają – padłem na polu chwały. Po obudzeniu zegar wskazywał północ. Przydała się ta przedłużona drzemka moim mięśniom – czułem je, ale nie aż tak, jak się obawiałem.

Reszta zmęczenia od razu ustąpiła, kiedy z kieszeni spodni wyciągnąłem zwitek banknotów i wręczyłem małżonce. Dobę wcześniej jeszcze nie wiedziałem, że będzie to aż tak przyjemny ciężar. A jak się połowica uradowała…

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zdzislaw, dodano 18.05.2021 21:09

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.